

STEPHEN KING

SKLEPIK Z MARZENIAMI



ALBATROS

Tytuł oryginału:
NEEDFUL THINGS

Copyright © Stephen King 1991
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Krzysztof Sokółowski 1996

Redakcja: Anna Tłuchowska
Projekt graficzny okładki: Sławomir Rybka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Na pewno, pamiętam, pamiętam. Nigdy nie zapominał twarzą.

Podejdz no bliżej, niech ci uścisknę dłoń. Coś ci powiem, rozpoznałem cię po chodzie, jeszcze zanim zobaczyłem twoją twarz. Nie mogłeś wybrać lepszego dnia na powrót do Castle Rock. Ślicznie dziś, prawda? Wkrótce zacznie się sezon polowań. Bandy głupków będą strzelać do wszystkiego, co się rusza i nie nosi pomarańczowej kamizelki, potem spadnie śnieg, zaczną się zamiecie, ale to mamy jeszcze przed sobą. Na razie jest październik, a w Castle Rock wszyscy są za tym, by październik trwał tak długo, jak tylko zechce.

Jeśli o mnie chodzi, to najlepsza pora roku. Wiosna, owszem, bywa miła, ale zawsze wolę październik od maja. Kiedy lato się kończy, wszyscy na ogół zapominają o zachodnim Maine. Letnicy z domków nad jeziorem i ci z góry, z View, wracają do Massachusetts i do Nowego Jorku. Co roku ludzie z wyspy patrzą na ich przyjazdy i odjazdy – cześć, cześć, cześć, pa, pa, pa. Fajnie, że przyjeżdżają, bo przywożą miejskie dolary, fajnie, że odjeżdżają, bo przywożą też swoje miejskie zadry.

O tych zadrach chciałem właśnie z tobą pogadać, nie siądziesz na chwilkę? Tu, na schodach estrady, będzie nam doskonale. Słoneczko przygrzewa i stąd, z samego śródeczka miejskiego parku, widać niemal całe śródmieście. Trzeba tylko uważać na drzazgi. Schody warto byłoby wyszlifować, a potem pomalować. To zajęcie Hugh'a Priesta, ale Hugh jakoś nie może się do niego zabrać. Pije. To żadna tajemnica. Oczywiście, w Castle Rock można i trzyma się parę rzeczy w tajemnicy, ale trzeba się nad tym cholernie napracować, a wszyscy wiemy, że wiele czasu minęło od chwili, kiedy Hugh i praca jakoś się ze sobą zgadzali.

Co to takiego?

A, to! Fajne, nie? Te ulotki znajdziesz w całym miasteczku. Moim zdaniem, Wanda Hemphill (jej mąż, Don, prowadzi Hemphill's Market) sama rozklejała większość z nich. Zerwij jedną ze słupka i podaj mi, dobrze? Daj spokój, nikt jeszcze nie zrobił interesu tylko dlatego, że przykleił reklamówkę na estradzie w parku miejskim.

O, kurka! Tylko popatrz. HAZARD I SZATAN! – wydrukowane na samej górze. Wielkie, czerwone litery, z których unosi się dym, jakby to była przesyłka z samego piekła. Ha! Gdyby ktoś nie wiedział, jakim sennym małym miasteczkiem jest Castle Rock, mógłby pomyśleć, że rzeczywiście schodzimy na psy. Ale wiesz, że w takich miastach niektóre sprawy tracą proporcje. Wielebny Willie musiał w tym maczać pazury. Z całą pewnością. Kościoły w małych miasteczkach... chyba nie muszą ci mówić, jak to jest. Jakoś tam się tolerują – prawie tolerują – ale nigdy nie czują się dobrze w swym towarzystwie. Przez jakiś czas jest spokój, a potem zaczyna się rozróżba.

Tym razem to wielka, piękna rozróżba. Ludzie mają sobie za złe mnóstwo spraw. W sali Rycerzy Kolumba, po drugiej stronie miasta, katolicy chcą otworzyć kasyno. Nazwali je Casino Nite. Z tego, co wiem, ma być czynne w ostatni czwartek każdego miesiąca; dochody przeznaczone będą na naprawę kościelnego dachu. To kościół pod wezwaniem Matki Bożej Spokojnych Wód, musiałeś go mijać przy wjeździe do Castle Rock, jeśli przyjechałeś od strony Castle View. Śliczny kościółek, nie?

Casino Nite wymyślił ojciec Brigham, ale tak naprawdę piłkę chwyciły Córy Izabeli, a zwłaszcza Betsy Vigue. Chyba już się zobaczyła w skąpej czarnej jedwabnej sukni, jak rozdaje karty przy pokerowym stole albo kręci kołem rulety i mówi: „Panie i panowie, proszę obstawiać, proszę obstawiać!”. W gruncie rzeczy kasyno podoba się chyba im wszystkim. Gra ma być na dziesiątaki i ćwierćdolarówki, niewinna zabawa, ale Córom, mimo wszystko, wydaje się zakazanym owocem.

Z kolei wielebny Willie wcale nie uważa tej zabawy za niewinną ani za rozkoszny zakazany owoc. Wielebny Willie – tak naprawdę wielebny William Rose – nigdy nie lubił ojca Brigham. I wzajemnie. (To właśnie ojciec Brigham pierwszy nazwał wielebnego Rose'a Parowym Williem, o czym wielebny doskonale wie).

Starcia tych dwóch szamanów krzeszały iskry i przedtem, ale Casino Nite to już nie starcia, tylko pełny ogień. Kiedy wielebny Willie dowiedział się, że katolicy mają zamiar uprawiać nocami hazard – w sali Rycerzy Kolumba! – podskoczył pod sufit, omal nie rozbijając sobie tej

swojej spiczastej małej główki. Za ulotki HAZARD I SZATAN zapłacił z własnej kieszeni, a Wanda Hemphill z przyjaciółkami z kółka krawieckiego rozrzuciła je po całym mieście. Od tej pory katolicy i baptyści rozmawiają ze sobą wyłącznie za pośrednictwem rubryki „Listy” w naszym lokalnym tygodniku; tam się wściekają, wymachują pięściami i jedni drugim grożą piekłem.

Rzuć okiem, zaraz zobaczysz, o czym mówię. Tam, z banku, właśnie wyszła Nan Roberts, właścicielka kawiarenki U Nan i zdaje się najbogatsza osoba w miasteczku, od kiedy stary Pop Merrill przeniósł się na pchli targ w niebie. Nan jest baptystką, chyba od czasów kiedy Hektor był szczeniakiem. Z drugiej strony idzie wielki Al Gendron – katolik, przy którym papież wydaje się heretykiem, i najlepszy przyjaciel Irlandczyka, ojca Brighama.

Patrz, patrz! Widzisz, jak nosy idą w górę? Ha! Ale kino! Założył się o niezłą sumkę przeciw zapalkom, że kiedy się mijali, temperatura między nimi spadła o kilkanaście stopni. Moja mamusia powtarzała, że ludzie mają swoje rozrywki, które zawstydziłyby zwierzaki.

A teraz popatrz w drugą stronę. Widzisz ten radiowóz z Biura Sze-ryfa, zaparkowany przy wypożyczalni wideo? Za kierownicą siedzi John LaPointe. Można pomyśleć, że pilnuje, żeby kierowcy nie przekraczali dozwolonej prędkości; ograniczenie obowiązuje w całym śródmieściu, a już zwłaszcza po lekcjach w szkole. Jeśli jednak przysłonisz oczy i spojrzysz dokładniej, zobaczysz, że wpatruje się w wyjęte z portfela zdjęcie. Stąd go nie widać, ale wiem, co na nim jest, równie dobrze, jak znam panieńskie nazwisko swojej matki. Andy Clutterbuck zrobił je Johnowi i Sally Ratcliffe jakiś rok temu, na jarmarku we Freyburgu. Na tym zdjęciu John obejmuje Sally, a ona tuli do piersi pluszowego misia, którego John wygrał dla niej na strzelnicy. Oboje są tacy szczęśliwi, jakby mieli zaraz zakwitnąć. Ale, jak mówią, to było kiedyś, a teraz jest teraz; no więc dziś Sally jest zaręczona z nauczycielem wychowania fizycznego w liceum, Lesterem Pratem, pełnej krwi baptystą, jak zresztą ona sama. John nie wyszedł jeszcze z szoku po tym zerwaniu. Widzisz, jak wzdycha? Sam sobie wypracował porządny przypadek depresji. Tylko ktoś nadal zakochany (albo taki co myśli, że jest zakochany) potrafi wzdychać równie głęboko.

Zauważyłeś, że kłopoty i zadry na ogół wynikają z drobiazgów? Zwyczajnych, pospolitych spraw. Pozwól, że dam ci przykład. Widzisz tego gościa, wchodzącego właśnie po schodach do gmachu sądów? Nie, nie tego w garniturze, to przewodniczący naszej Rady Miejskiej, Dan

Keeton. Chodzi mi o tego drugiego, czarnego, w roboczym kombinezonie. To Eddie Warburton, nocny dozorca w Ratuszu. Nie spuszcza z niego wzroku jeszcze przez kilka sekund, zobaczysz, co robi. O! Widzisz, jak zatrzymuje się na samej górze i patrzy w dół ulicy? Założę się o jeszcze więcej dolców przeciw zapałkom, że patrzy na stację Sunoco. Właścicielem i głównym mechanikiem Sunoco jest Sonny Jackett. Nie lubią się z Eddiem od czasu, gdy dwa lata temu Eddie chciał u niego naprawić przekładnię kierownicy.

Pamiętam ten jego samochód. Honda civic. Nic specjalnego, ale dla Eddiego była czymś specjalnym: pierwszym i jedynym w jego życiu nowiutkim samochodem. A Sonny nie tylko spał robotę, ale jeszcze zażądał jakichś strasznych pieniędzy. Tak przynajmniej opowiada Eddie. Sonny twierdzi, że Eddie próbował wykorzystać fakt, że jest Murzynem, żeby nie płacić za naprawę. Wiesz, jak to jest, nie?

No więc Sonny Jackett pozwał Eddiego Warburtona do sądu, pokrzyżowali na sobie zdrowo najpierw na sali, potem na korytarzu. Eddie powiedział, że Sonny nazwał go durnym czarnuchem, a Sonny na to: „Nie powiedziałem »czarnuchem«, ale reszta się zgadza”. Z sądu żaden nie wyszedł zadowolony. Sędzia kazał Eddiemu zapłacić pięćdziesiąt dolców; Eddie twierdził, że to o pięćdziesiąt za dużo, a Sonny, że o wiele za mało. Nagle, nie wiadomo dlaczego, honda Eddiego zapaliła się od zwarcia w instalacji elektrycznej i dokonała żywota na złomowisku przy drodze miejskiej numer 5. Eddie jeździ teraz oldsmobilem na olej z 89 roku. Nigdy nie przestał wierzyć, że Sonny Jackett wie więcej o tym zwarcu, niż powiedział.

Chłopie, ludzie mają rozrywki, które zawstydziłyby zwierzaki, prawda? Niewiele więcej da się znieść w gorący dzień, nie?

A przecież to zwykłe życie w małym miasteczku, nazwij je jak chcesz: Peyton Place, Gover's Corner czy Castle Rock. Ludzie jedzą ciasteczka, piją kawę i za plecami obgadują się wzajemnie: Slopeya Dodda, że jest samiutki, bo inne dzieciaki wyśmiewają się z jego jąkania, i Myrtle Keeton, że sprawia wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie jest i co ma zrobić, a to dlatego, że jej mąż (facet, który wchodził do sądu przed Eddiem) od pół roku przestał być sobą. Widzisz, jakie ma spuchnięte oczy? Chyba płakała albo nie spała za dobrze, a może i jedno, i drugie? Jak sądzisz?

A tam idzie Lenore Potter. Wygląda jak z pudełeczka, nie? Pędzi do „Western Auto” sprawdzić, czy przyszedł już specjalny nawóz organiczny, który zamówiła. Ta kobieta ma więcej gatunków kwiatów w swo-

im ogródka, niż Carter zażył pigulek na wątrobę. Jest z nich strasznie dumna. Kobiety z miasteczka nie lubią jej. Z tymi swoimi kwiatami, humorami i bostońską trwałą za siedemdziesiąt dolarów uchodzi za zarozumiałą. I między nami mówiąc, skoro już siedzimy sobie na słoneczku na tych nieoheblowanych schodkach estrady, moim zdaniem całkiem słusznie.

Pewnie sądzisz, że wszystko to jest bardzo zwyczajne, ale nie każdy z problemów Castle Rock jest taki zwykły, powiedzmy to sobie od razu. Nikt tu nie zapomniał Franka Dodda, policjanta z dyżurów na przejściu przed szkołą, który dwanaście lat temu zwariował i pozabijał te wszystkie kobiety; nikt nie zapomniał psa, który dostał wścieklizny i zabił Joego Cambera i tego pijaczka, co mieszkał obok niego przy drodze. Pies zabił także dobrego, starego szeryfa George'a Bannermana. Teraz szeryfem jest Alan Pangborn, dobry człowiek, ale nigdy w oczach ludzi z miasteczka nie dorówna Wielkiemu George'owi.

To, co spotkało Reginalda „Popa” Merrilla, także trudno nazwać czymś zwyczajnym. Pop był starym skąpiradłem i często zaglądał do sklepiku ze starzyzną. Emporium Galorium – tak się nazywał ten sklep – stało tam, gdzie teraz jest pusta parcela. Spaliło się jakiś czas temu. Są ludzie, którzy widzieli pożar (albo przynajmniej twierdzą, że go widzieli) i po kilku piwach w Potulnym Tygrysie opowiedzą ci, że Emporium Galorium i starego Popa nie strawił „zwykły” ogień.

Bratanek Popa, Ace, twierdzi, że tuż przed pożarem coś dziwnego przytrafiło się jego stryjowi – coś jakby wprost ze *Strefy Zmroku*. Oczywiście Ace'a nie było na pogrzebie starego, kończył czteroletnią odsiadkę w Shawshank za włamanie. Wszyscy wiedzieli, że Ace Merrill źle skończy! Kiedy chodził do szkoły, był chyba najgorszym rozrabiaką w historii Castle Rock. Chłopaków, którzy uciekali na drugą stronę ulicy, kiedy Ace podchodził do nich w tej swojej motocyklowej kurtce z brzęczącymi zamkami i nitami i w ciężkich butach stukających po asfalcie, można liczyć na setki. A jednak ludzie uwierzyli mu, wiesz... Może rzeczywiście coś dziwnego przydarzyło się Popowi, a może to tylko plotki u Nan, przy kawie i szarlotce.

Cóż, żyje się tu chyba bardzo podobnie jak w miasteczku, w którym dorastałeś, przyjacielu. Ludzi dzieli religia, zawiść, kłóć się i mają do siebie żal... od czasu do czasu można pogadać o jakiejś niesamowitej historii, o tym, co mogło lub nie mogło przydarzyć się w sklepiku tej nocy, kiedy umarł Pop; chwila rozrywki na nudny wieczór. Castle Rock to mimo wszystko fajne miejsce, dobrze się tu żyje i wzrasta, jak mówią

tablice przy każdej z dróg wjazdowych. Promienie słońca padają na liście drzew i na jezioro, a w wyjątkowo piękny dzień z Castle View widać nawet wszystkie drogi do Vermont. Letnicy wściekają się na siebie, kiedy zabraknie niedzielnych gazet, na parkingu Potulnego Tygrysa w piątki lub soboty (a czasami i w piątki, i w soboty) zdarzają się bójkki, ale letnicy zawsze w końcu wyjeżdżają, a bójkki ustają. Nasze Castle Rock to w gruncie rzeczy fajne miasteczko, a kiedy ktoś zaczyna się nagle wściekać, to wtedy mówimy: przejdzie mu, przejdzie jej.

Henry Beaufort na przykład ma dość Hugh'a Priesta, kąpiącego po pijaku jego szafę grającą... Ale Hughowi przejdzie. Wilma Jerzyk i Nettie Cobb są na siebie wściekłe, ale Nettie najprawdopodobniej przejdzie, a jeśli chodzi o Wilmę, to wściekłość jest po prostu jej sposobem życia. Szeryf Pangborn nadal oplakuje żonę i młodszego syna, którzy zginęli przedwcześnie. Była to straszna tragedia, ale szeryfowi też kiedyś przejdzie. Artretyzm Polly Chalmers nie ma zamiaru ustąpić i z pewnością jej nie przejdzie, ale Polly nauczy się z nim żyć. Jak miliony innych.

Zawsze ktoś się z kimś kłóci, ale na ogół sprawy idą dobrze. A przynajmniej szły, aż do dziś. Lecz teraz, przyjacielu, zdradzę ci tajemnicę. Zawołałem cię, kiedy zobaczyłem, że wróciłeś do miasta. Sądzę, że będziemy mieli kłopoty, prawdziwe kłopoty. Czuję je, czają się tuż za horyzontem, nieoczekiwane jak zimowa burza, gwałtowna i z mnóstwem błyskawic. Kłótnie baptystów z katolikami o Casino Nite, okrucieństwo dzieci wyśmiewających biednego Slopeya-jąkałę, nieszczęśliwa miłość Johna LaPointe, rozpacz szeryfa Pangborna... moim zdaniem, wszystko to okaże się całkiem nieważne w porównaniu z tym czymś, co nadchodzi.

Widzisz ten dom po drugiej stronie głównej ulicy? Trzy domy za pustą parcelą, gdzie kiedyś stało Emporium Galorium? Ten z zieloną markizą, tak, właśnie ten. Okna ma zamalowane, interes jeszcze nie ruszył. Szylt głosi: „Sklepek z Marzeniami” – do diabła, co to właściwie ma znaczyć? Nie, ja też nie wiem, ale stąd płyną moje złe przecucia.

Właśnie stąd.

Jeszcze raz spójrz na ulicę. Widzisz tego chłopca? Tego, który prowadzi rower i wygląda na pogrążonego w słodkich chłopięcych marzeniach? Nie spuszcza z niego oka, przyjacielu. Moim zdaniem wszystko zacznie się właśnie od niego.

Nie, przecież mówiłem, nie wiem, co się zacznie... Zupełnie nie wiem. Ale nie spuszcza z tego małego. I nie wyjeżdżaj z miasteczka

ka, dobrze? Mam złe przeczucia. Jeśli coś rzeczywiście się wydarzy, dobrze byłoby mieć świadka.

Znam tego chłopca, który pcha rower. Nazywa się Brian jakoś tam. Może ty też go znasz. Jego tata robi chyba wykończeniówkę domów w Oxfordzie i South Paris: instaluje drzwi, zakłada okładziny.

Nie spuszcza z niego oka, mówię ci. Nie spuszcza z niego! Już tu kiedyś byłeś, ale w powietrzu wisi zmiana.

Czuję ją.

Jestem jej pewien.

Nadchodzi burza.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wielkie uroczyste otwarcie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

W małym miasteczku otwarcie nowego sklepu to wydarzenie.

Dla Briana Ruska nie było jednak tak ważne, jak dla innych, na przykład jego matki. Słyszał, jak od mniej więcej miesiąca dyskutowała na ten temat (nie wolno ci używać słowa „plotkowała” – zapowiedziała synowi – bo plotkowanie to wstrętny nawyk i ja nigdy nie plotkuję) bardzo zapalczywie ze swą najbliższą przyjaciółką, Myrą Evans. Pierwsi robotnicy pojawili się w budynku, w którym mieściła się niegdyś Agencja Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine i Ubezpieczenia, mniej więcej wtedy, kiedy znowu zaczęła się szkoła, i aż do dziś krzątała się tam jak pszczołki. Nikt właściwie nie wiedział, o co chodzi; pierwszą rzeczą, jaką zrobili, było wstawienie wielkich okien wystawowych, drugą – zamalowanie ich.

Dwa tygodnie temu na drzwiach pojawił się szyld, zawieszony na linie przymocowanej do przezroczystej plastikowej przyssawki. Głosił:

WKRÓTCE OTWARCIE!
SKLEPIK Z MARZENIAMI
CZEGOŚ TAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO!
NIE UWIERZYCIE WŁASNYM OZOM!

– Kolejny sklep z antykami – orzekła matka Briana w rozmowie z Myrą. Rozmawiała z nią rozparta na kanapie. W jednej ręce trzymała słuchawkę, drugą wyciągała wiśnie w czekoladzie z otwartego pudełka, gapiąc się jednocześnie w telewizor, gdzie szła właśnie *Santa Barbara*. – Kolejny sklep z antykami, pełny fałszowanych wczesnoamerykańskich

mebli i tych starych telefonów na korbkę. Poczekaj, a zobaczysz!

Rozmowa miała miejsce wkrótce po tym, jak najpierw zamontowano, a potem zamałowano okna wystawowe. Matka mówiła z takim przekonaniem, że Brian nabrał całkowitej pewności, iż temat został wyczerpany. Tylko że z jego matką żaden temat nigdy nie był do końca wyczerpany. Jej domysły i podejrzenia ciągnęły się w nieskończoność jak problemy bohaterów serialu *Santa Barbara* lub *Szpitala miejskiego*.

W zeszłym tygodniu pierwsza linijka napisu na szyldzie została zmieniona:

WIELKIE OTWARCIE 9 PAŹDZIERNIKA PRZYJDŹCIE Z PRZYJACIÓLMI!

Brian nie interesował się sklepem tak bardzo jak jego matka (i niektóre nauczycielki; słyszał, jak rozmawiają na ten temat w pokoju nauczycielskim szkoły podstawowej w Castle Rock, kiedy wypadł tam jego dyżur), ale miał jedenaście lat, a zdrowego jedenastolatka interesuje wszystko co nowe, a poza tym fascynowała go nazwa. Sklepik z Marzeniami – co to właściwie takiego?

Owo zmienione pierwsze zdanie przeczytał w zeszły wtorek, wracając do domu ze szkoły. We wtorki popołudniami zostawał w szkole. Urodził się z zajęczą wargą i chociaż operowano go w wieku siedmiu lat, nadal chodził na lekcje wymowy. Każdemu, kto go o to pytał, oznajmiał, że nienawidzi tych zajęć, ale w rzeczywistości było wręcz odwrotnie. Brian był do szaleństwa, beznadziejnie zakochany w pannie Ratcliffe i przez cały tydzień wyczekiwał jej lekcji. Wtorkowe przedpołudnie trwało dla niego tysiąclecie, z których ostatnie dwie godziny spędzał pogrążony w słodkim podnieceniu.

Oprócz niego na lekcje chodziło jeszcze czworo innych uczniów i wszyscy oni mieszkali po przeciwnej stronie miasteczka. Bardzo mu to odpowiadało. Po godzinie spędzonej w jednej sali z panną Ratcliffe był zbyt oszołomiony, by znieść czyjekolwiek towarzystwo. Lubił wracać do domu powoli, ciesząc się spokojem popołudnia; zazwyczaj pchał rower, zamiast na nim jechać, i marzył o pannie Ratcliffe, podczas gdy w skośnych promieniach październikowego słońca mieniły się żółto i złoto opadające liście.

Jego droga prowadziła główną ulicą Castle Rock na odcinku trzech przecznic, naprzeciw parku miejskiego. Od dnia, w którym zobaczył zawiadomienie o otwarciu Sklepiku z Marzeniami, miał zwyczaj przy-

kładać nos do szklanych drzwi, w nadziei że dostrzeże to, co znalazło się w środku zamiast masywnych biurów i urzędowych żółtych ścian nieodżałowanej Agencji Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Main i Ubezpieczeń. Nie zaspokoił ciekawości. Wisząca na drzwiach roleta była zasunięta. Dostrzegał jedynie własne odbicie: twarz i przyłożone do szyby dłonie.

W piątek, czwartego, w wychodzącym w Castle Rock tygodniku „Call” ukazała się reklama nowego sklepu, ujęta w ozdobną ramkę. Poniżej tekstu dęły w trąby dwa odwrócone do siebie plecami anioły. Reklama w zasadzie niczym nie różniła się od tej, która wisiała na przyssawce; sklep nazywał się Sklepik z Marzeniami, otwarcie odbędzie się dziewiątego października rano i oczywiście – „Nie uwierzycie własnym oczom”. Nic nie wskazywało, jakim towarem zamierza handlować właściciel czy też właściciele Sklepiku z Marzeniami.

Najwyraźniej szalenie zirytowało to Corę Rusk; zirytowało do tego stopnia, że choć była sobota rano, postanowiła zadzwonić do Myry.

– Ja tam uwierzę własnym oczom, bez obawy! – powiedziała. – Kiedy zobaczę te łóżka na sprężynach, które mają podobno dwieście lat, a tymczasem na ramie wybite jest „Rochester, Nowy Jork” i wystarczy tylko pochylić się i zajrzeć pod spód, żeby to zobaczyć. O tak, uwierzę własnym oczom, nie ma strachu!

Myra coś jej na to powiedziała. Cora słuchała, wyjadając wprost z puszek orzeszki w czekoladzie, po jednym i dwa, i żując je pracowicie. Brian i jego młodszy brat, Sean, siedzieli na podłodze oglądając telewizję. Seana pochłonął bez reszty świat Smurfów, Brian zaś, choć światek małych niebieskich ludzików nie był mu całkowicie obojętny, jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie.

– Jaaasne! – ryknęła Cora Rusk. Myra musiała wygłosić właśnie szczególnie cenną uwagę, bowiem w głosie Cory więcej było triumfalnej pewności niż zazwyczaj. – Wysokie ceny i telefony na korbkę.

Wczoraj, w poniedziałek, Brian wracał ze szkoły z kilkoma kolegami. Kiedy mijali sklep, dostrzegł, że rankiem zainstalowano nad nim ciemnozieloną markizę, na której białymi literami było wypisane: „Sklepik z Marzeniami”. Polly Chalmers, prowadząca w miasteczku pracownię krawiecką, stała na chodniku z rękami na swych jakże godnych zazdrości szczupłych biodrach, wpatrzona w markizę z wyrazem zdumienia i zachwytu jednocześnie.

Brian, który niejedno wiedział o markizach, uznał tę za godną najwyższego podziwu. Była to jedyna „prawdziwa” markiza na głównej

ulicy; dzięki niej sklep wyglądał... niezwykle. Określenie „z klasą” nie należało do czynnego słownictwa Briana Ruska, lecz natychmiast zorientował się, że drugiego takiego sklepu w Castle Rock nie ma – i nigdy nie było. Dzięki markizie Sklepik z Marzeniami sprawiał wrażenie czegoś, co można obejrzeć w telewizji. Western Auto po przeciwnej stronie ulicy wyglądało przy nim na zaniedbane i prowincjonalne.

Kiedy wrócił do domu, zastał matkę na kanapie przed telewizorem, w którym szła *Santa Barbara*. Tym razem pochłaniała babeczki z kremem i dietetyczną colę. Cora zawsze piła dietetyczną colę lub pepsi; Brian nie bardzo rozumiał czemu, skoro popijała nią to, co popijała, ale wiedział, że pytać o to byłoby niebezpiecznie. Mama mogłaby nawet zacząć krzyczeć, a kiedy mama zaczynała krzyczeć, należało natychmiast rzucać się na poszukiwania głębokiej dziury w ziemi.

– Cześć, mama! – krzyknął, ciskając książki na kuchenny stół i wyciągając mleko z lodówki. – Wiesz co? Nad tym nowym sklepem jest markiza!

– Która z nich to markiza? – dobiegł go z pokoju głos matki, porażonej w *Santa Barbara*.

Brian nalał sobie mleka i poszedł do dużego pokoju.

– Nie tu – powiedział. – Nad tym nowym sklepem, w centrum.

Cora usiadła wyprostowana, odszukała pilota i wyłączyła dźwięk. Al i Corinne nadal omawiali problemy w swej ulubionej restauracji w *Santa Barbara*, ale jakie to były problemy, mógł dowiedzieć się tylko ktoś, kto umie czytać z warg.

– Co? Nad tym Sklepikiem z Marzeniami?

– Uhu – przytaknął Brian, który właśnie pił mleko.

– Nie siorb – pouczyła go matka, wpychając sobie ciasteczko w usta. – To obrzydliwe. Ile razy mam ci powtarzać?

Tyle, ile powtarzałaś mi, żebym nie mówił z pełnymi ustami, pomyślał Brian, ale zachował tę uwagę dla siebie. Bardzo wcześniej przekonał się, co jest złotem.

– Przepraszam, mammo.

– Jaka to markiza?

– Zielona.

– Tłoczona czy aluminiowa?

Brian, którego ojciec robił wykończeniówkę dla Dick Perry Siding and Door Company w South Paris, doskonale wiedział, o czym mówi mama, lecz gdyby markiza Sklepiku z Marzeniami była tłoczona lub aluminiowa, w ogóle nie zwróciłby na nią uwagi. Aluminiowe i tłoczono-

ne markizy to masówka. Połowa domów w Castle Rock miała je nad oknami.

– Nie, nie. Jest z materiału... płócienna chyba. Wystaje nad ulicę, rzuca cień na chodnik! I jest okrągła, o taka! – złożył dłonie w pół-okrąg, uważając, by nie rozlać mleka. – Na wierzchu ma nazwę sklepu. Wygląda bajecznie!

– No, niech mnie zarzną! – tymi słowami Cora wyrażała najczęściej podniecenie lub gniew. Brian cofnął się o krok na wypadek, gdyby chodziło o drugie z wymienionych tu uczuć.

– Mamusku, a co to będzie? – spytał. – Restauracja?

– Nie wiem. – Cora Rusk wyciągnęła rękę po stojący na stole różowy telefonik. Żeby go dosięgnąć, musiała zrzucić ze stołu kota imieniem Squeebles, gazetę z programem telewizji i litrową butelkę coli. – Niesamowite.

– Mamo, a co to znaczy Sklepik z Marzeniami? Czy to coś jak...

– Nie przeszkadzaj mi teraz, Brian. Mama jest zajęta. W pudełku znajdziesz hot dogi, jeśli jesteś głodny. Zjedz jednego, ale tylko jednego, niedługo będzie kolacja. – Mówiąc to wykręcała numer Myry i już wkrótce obie panie z wielkim entuzjazmem dyskutowały kwestię markizy.

Brian, który nie miał ochoty na hot doga (bardzo kochał mamę, ale czasem patrząc na to, jak je, tracił apetyt), usiadł przy kuchennym stole, otworzył podręcznik matematyki i zabrał się do pracy domowej; był inteligentnym, obowiązkowym chłopcem i tylko matematyki nie zdążył odrobić w szkole. Metodycznie przesuwiał przecinki i dzielił, słuchając, co też mama ma do powiedzenia przez telefon. Mama po raz kolejny powtarzała Myrze, że w Castle Rock będą mieli jeszcze jeden sklep sprzedający stare, śmierdzące butle perfum i zdjęcia czyichś martwych krewnych i doprawdy wstyd, jak takie sklepiki powstają i znikają. Za wielu jest ludzi – twierdziła Cora – których życiowym mottem jest „nachap się i w nogi”, a kiedy mówiła o markizie, miało się wrażenie, że markizę wymyślono tylko po to, by obrazić ją osobiście... i że w tym względzie osiągnięto kolosalny sukces.

Moim zdaniem uważa, że ktoś powinien zasięgnąć przedtem jej rady, pomyślał Brian, podczas gdy pióro poruszało się systematycznie, dzieląc, przenosząc, zaokrąglając. Aha, o to właśnie chodzi. Jest ciekawa – po pierwsze. I jest też wściekła – po drugie. Ta mieszanina ciekawości i wściekłości doprowadza ją niemal do szału. Wkrótce dowie się, o co tu chodzi. A kiedy się dowie, może i jemu zdradzi ten wielki

sekret? A jeśli będzie zbyt zajęta, by mu go zdradzić, i tak dowie się wszystkiego, słuchając jej rozmów z Myrą.

Okazało się jednak, że Brian poznał kilka sekretów Sklepiku z Marzeniami przed matką, Myrą i w ogóle kimkolwiek z Castle Rock.

2

Zawzięcie pchał swój rower, wracając ze szkoły po południu w dniu poprzedzającym otwarcie Sklepiku z Marzeniami. Tkwił głęboko w marzeniach (nie opowiedziałby o nich nikomu, nawet gdyby przypalano go gorącym węglem lub na przykład grożono tarantulami), w których zapraszał pannę Ratcliffe na jarmark w Castle Rock. Panna Ratcliffe przyjęła jego zaproszenie!

– Dziękuję ci, Brian. – Łzy wdzięczności błyszczą w kącikach jej niebieskich oczu, oczu tak ciemnoniebieskich, że wyglądają niemal jak niebo przed burzą. – Ostatnio... byłam bardzo smutna. Straciłam ukochanego...

– Pomogę ci o nim zapomnieć – głos Briana jest jednocześnie szorstki i czuły – jeśli zechcesz mówić mi Bri.

– Dziękuję ci... – szepcze panna Ratcliffe, a potem, pochylając się tak, że Brian czuje zapach jej perfum – aromat polnych kwiatków wprost z marzeń – dodaje: – ...Bri. A ponieważ, przynajmniej dziś, jesteśmy dla siebie chłopcem i dziewczyną, a nie uczniem i nauczycielką, czy będziesz mi mówił Sally?

Brian bierze ją za rękę. Patrzy jej w oczy.

– Nie jestem dzieckiem. Pomogę ci o nim zapomnieć... Sally.

Jest niemal zahipnotyzowana tym niespodziewanym porozumieniem, jego nieoczekiwaną męskością; być może ma zaledwie jedenaście lat – myśli – ale jest mężczyzną, którym Lester nigdy nie będzie. Zaciska dłoń na jego dłoni. Ich twarze są blisko... coraz bliżej...

– Nie – szepcze, a jej oczy są tak bliskie, tak wielkie, że Brian niemal się w nich topi – nie wolno nam... nie wolno... nam... Bri...

– Wolno, kochanie – odpowiada chłopiec i przyciska usta do jej ust. Panna Ratcliffe odsuwa się po długiej chwili, szepcząc czule...

– Hej, gówniarzu, patrz, gdzie leziesz!

Przywołany gwałtownie do rzeczywistości Brian zorientował się, że właśnie wślazł pod koła półciągarówki Hugh'a Priesta.

– Bardzo pana przepraszam, panie Priest! – powiedział, rumie-

niąc się jak wściekły. Hughowi Priestowi także niewiele brakowało do wściekłości. Pracował dla Wydziału Robót Publicznych i miał opinię najgwałtowniejszego z mieszkańców Castle Rock. Brian przyglądał mu się spod oka. Gdyby tylko Hugh otworzył drzwi samochodu, natychmiast wskoczyłby na rower i znikł w perspektywie ulicy mniej więcej z prędkością światła. Nie miał zamiaru przeleżeć najbliższego miesiąca w szpitalu tylko dlatego, że marzył o zaproszeniu panny Ratcliffe na jarmark.

Ale Hugh Priest trzymał między nogami butelkę piwa, z radia leciał Hank Williams, Jr. śpiewając „Na haju, pod ciśnieniem”, i w ogóle było mu odrobinę za dobrze, by podjąć jakąś radykalną decyzję – na przykład wysiąść i sflekować gówniarza w to śliczne wtorkowe popołudnie.

– Lepiej szeroko otwieraj oczka – powiedział i łyknął z butelki, mierząc Briana złowrogim spojrzeniem – bo następnym razem mogę nie fatygować się naciskaniem hamulca. Po prostu rozsmaruję cię po asfalcie. Ale będziesz piszczał, malutki! – Wrzucił bieg i odjechał. Brian poczuł przemożną (choć na szczęście krótkotrwałą) pokusę, by krzyknąć za nim: „A niech mnie zarzną!”. Zaczekał, aż pomarańczowy samochód robót drogowych skręci w Linden Street, a potem ruszył przed siebie. Wszelkie marzenia o panie Ratcliffe rozplynęły się, niestety, w powietrzu; Hugh Priest był niczym powiew rzeczywistości. Panna Ratcliffe nie pokłóciła się ze swym narzeczonym, Lesterem Pratem, nadal nosiła na palcu pierścionek zaręczynowy z maleńkim diamentem i nadal jeździła jego niebieskim mustangiem, czekając, aż jej własny samochód wróci wreszcie z naprawy.

Brian widział pannę Ratcliffe z Lesterem Pratem zaledwie wczoraj po południu. Przyklejali te ulotki, HAZARD I SZATAN, na słupach telefonicznych głównej ulicy, oni i jeszcze kilka osób. Wszyscy śpiewali hymny. Problem w tym, że katolicy pojawiali się zaraz po ich przejściu i zdierali nalepione ulotki. W pewien sposób strasznie to było śmieszne... ale gdyby Brian był choć odrobinę starszy, zrobiłby wszystko, by własnym ciałem chronić ulotki, których dotykały święte ręce panny Ratcliffe.

Pomyślał o jej ciemnoniebieskich oczach, długich nogach tancerki i zdumiał się, jak zawsze na myśl o tym, że od stycznia Sally z własnej woli przestanie być Sally Ratcliffe, co brzmiało, cudownie, a stanie się Sally Pratt, co dla Briana brzmiało, jakby gruba baba spadała z krótkich, ale bardzo stromych schodów.

No cóż, pomyślał, przechodząc przez ulicę w drodze do domu,

może jeszcze zmieni zdanie? Nic nie jest niemożliwe. Albo może Lester Pratt będzie miał wypadek samochodowy, albo dostanie guza mózgu czy coś takiego? Może okaże się nawet, że jest narkomanem? Panna Ratcliffe nigdy nie poślubiłaby narkomana.

Myśli te sprawiły Brianowi ogromną ulgę, nie zmieniało to jednak faktu, że Hugh Priest przerwał mu sen na jawie tuż przed kulminacją (całował pannę Ratcliffe i nawet dotykał jej prawej piersi podczas jazdy tunelem miłości!). To jednak zwariowany pomysł, jedenastołatek zabierający nauczycielkę na jarmark. Panna Ratcliffe jest oczywiście piękna, ale także stara. Powiedziała przecież klasie, że w listopadzie skończy dwadzieścia cztery lata.

Brian złożył więc swoje marzenia wzdłuż zagięć, jak człowiek składający ukochany i często czytany dokument, po czym umieścił je na tylnej półce mózgu, gdzie było ich miejsce. Zamierzał wsiąść na rower i popedałować do domu.

W tej właśnie chwili minął nowy sklep. Zerknął na szyld, coś się w nim zmieniło. Zatrzymał rower i spojrzał uważnie.

Napis: OTWARCIE 9 PAŹDZIERNIKA – PRZYPROWADŹCIE PRZYJACIÓŁ, zniknął. Zastąpiła go biała karteczka z czerwonym napisem: OTWARTE. Tylko to i nic więcej. Brian zapatrzył się na kartkę, z rowerem między nogami, a serce zaczęło mu bić odrobinę szybciej.

Wcale nie mam zamiaru wejść do środka – powiedział do siebie. – Nawet jeśli rzeczywiście otworzyli dzień wcześniej, nie muszę z tego skorzystać, prawda?

A czemu nie? – zadał sobie drugie pytanie.

No, bo okna wystawowe nadal są zamalowane, a roleta na drzwiach wciąż opuszczona. Jeśli wejdem, wszystko może się przydarzyć, dosłownie wszystko.

Jasne. Facet, który prowadzi ten sklepik, jest jakimś Normanem Batesem, przebiera się w ubrania matki, dźga klientów nożem. Jaaasne!

Rany, daj sobie spokój – powiedziała nieśmiała część Briana, ale brzmiało to tak, jakby już wiedziała, że poniosła klęskę. W końcu rzeczywiście jest w tym coś dziwnego.

A potem Brian pomyślał o matce. Widział, jak mówi jej nonszalancko: „A tak przy okazji, mam, ten nowy sklep, ten Sklepik z Marzeniami? No... otworzyli go dzień wcześniej. Byłem tam, rozejrzałem się trochę”.

Mama z pewnością wyciszy wtedy telewizor i zerwie się z kanapy. Jasne, bez dwóch zdań! Będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego, do-

słownie wszystkiego!

Temu obrazowi po prostu nie mógł się oprzeć. Postawił rower na podpórce, wszedł pod markizę – w jej cieniu było wyraźnie chłodniej – i podszedł do drzwi Sklepiku z Marzeniami. Kiedy nacisnął staroświecką mosiężną klamkę, uświadomił sobie, że tabliczka z napisem: OTWARTE, została pewnie zawieszona przez pomyłkę. Czekala tam, za szybką drzwi, na jutrzejszy dzień i ktoś ją powiesił przypadkiem. Zza rolety nie dobiegał nawet najcichszy dźwięk. Brian miał wrażenie, że Sklepik z Marzeniami jest pusty.

Ale skoro już zaczął, poruszył klamką. Obróciła się łatwo. Stuknęła zapadka i drzwi Sklepiku z Marzeniami stanęły przed nim otworem.

3

W środku było mroczno, ale nie ciemno. Brian dostrzegł, że w szynach na suficie zainstalowano ruchome lampy punktowe (specjalność Dick Perry Siding and Door Company) i że niektóre z nich były zapalone. Ich światło padało na gablotki, w większości puste, umieszczone wokół dużej sali. Lampy oświetlały te, w których coś się jednak znajdowało.

Podłoga – w czasach Agencji Obrotu Nieruchomościami Zachodniego Maine i Ubezpieczeń gołe deski – pokryta była grubym dywanem w kolorze czerwonego wina. Ściany pomalowano na oślepiającą biel. Pasma światła, równie białego jak ściany, przenikały przez zamalowane okna.

To jednak pomyłka – pomyślał Brian. – Nie sprowadzili jeszcze towaru. Ktoś, kto przez pomyłkę umieścił na drzwiach napis: OTWARTE, przez pomyłkę także ich nie zamknął. W tych okolicznościach najgrzeczniej byłoby wyjść, zamknąć drzwi za sobą, wskoczyć na rower i odjechać.

A jednak bardzo nie chciał wyjść. Przecież właśnie widział, naprawdę widział, wewnątrz nowego sklepu. Kiedy mama się o tym dowie, przegada z nim całe popołudnie, aż do wieczora. Najgorsze było jednak to, że Brian nie bardzo wiedział, co właściwie widzi. W gablotkach znajdowały się jakies

(eksponaty)

towary, oświetlone blaskiem lamp punktowych – pewnie sprawdzają instalację – ale co to za towary, nie miał najmniejszego pojęcia.

Tylko jedno było jasne – nie są to sprężynowe łózka i stare telefony na korbkę.

– Dzień dobry – rzucił niepewnie w przestrzeń. – Jest tu kto?

Stał na progu gotów do wyjścia, kiedy jakiś głos powiedział:

– Ja tu jestem.

Wysoka – na pierwszy rzut oka wydawało się, że niesamowicie wysoka – postać pojawiła się w drzwiach za jedną z gablotek. Drzwi zasłaniała aksamitna kotara. Przez moment Brian czuł paniczny strach, a potem twarz mężczyzny ukazała się w świetle jednej z lamp i lęk ustąpił. Mężczyzna był stary. Sprawiał wrażenie bardzo łagodnego. Patrzył na Briana z zaciekawieniem i z przyjaznym uśmiechem.

– Zostawił pan otwarte drzwi, więc pomyślałem...

– Oczywiście, że drzwi były otwarte. Zdecydowałem, że dziś po południu otworzę na kilka godzin... tak na próbę. Jesteś moim pierwszym klientem. Wchodź, przyjacielu, wchodź i podziel się ze mną odrobiną szczęścia, które ze sobą przynosisz.

Wysoki, stary mężczyzna z uśmiechem wyciągnął dłoń. Uśmiechał się zaraźliwie i Brian natychmiast go polubił. Musiał przekroczyć próg, wejść do środka, by ucisnąć wyciągniętą dłoń; wszedł jednak bez najmniejszego wahania. Drzwi same się za nim zamknęły i zapadka zaskoczyła sama, ale Brian tego nie zauważył. Zbyt był zajęty obserwowaniem mężczyzny o ciemnoniebieskich oczach, dokładnie takich, jak oczy panny Sally Ratcliffe. Mogli być ojcem i córką.

Uścisk dłoni właściciela Sklepiku z Marzeniami był mocny i pewny, lecz nie bolesny. Mimo to było w nim coś nieprzyjemnego, dłoń miał jakby... śliską. I nieco zbyt twardą.

– Miło mi pana poznać – powiedział Brian.

Ciemnoniebieskie oczy wpatrzyły się w jego twarz jak latarnie lokomotywy.

– Mnie również, mnie również – powiedział mężczyzna.

W ten właśnie sposób Brian Rusk poznał właściciela Sklepiku z Marzeniami, zanim poznała go reszta Castle Rock.

4

– Nazywam się Leland Gaunt – powiedział wysoki mężczyzna. – Ty zaś jesteś...

– Brian. Brian Rusk.

– Doskonale, panie Rusk. Ponieważ jest pan moim pierwszym klientem, sądzę, że mogę panu zaoferować wyjątkowo specjalną cenę na wszystko, co się panu spodoba.

– Nie, nie, dziękuję, w takim sklepie nie kupię chyba niczego. Kieszonkowe dostaję dopiero w piątek i... – Brian z powątpiewaniem rozejrzył się po gablotkach – ...chyba czeka pan jeszcze na dostawę.

Gaunt uśmiechnął się. Zęby miał krzywe, w przyćmionym świetle wydawały się także mocno żółknięte, ale mimo to jego uśmiech był czarujący. I znów Brian odpowiedział uśmiechem – niemal mimo woli.

– Tak – powiedział Gaunt. – Oczywiście. Dostawa, jak to ująłeś, przyjdzie dopiero wieczorem. Ale znajdziesz tu z pewnością kilka interesujących drobiazków. Proszę, rozejrzyj się po sklepie, młodzieńcze. Z przyjemnością wysłucham twojej opinii, choćbyś nawet niczego nie kupił... a poza tym masz przecież mamę, prawda? Ależ oczywiście. Tak dzielny młody człowiek z całą pewnością nie jest sierotą. Mam rację?

Brian skinął głową, nie przestając się uśmiechać.

– Jasne. Mama jest teraz w domu. – Nagle coś przyszło mu do głowy. – Może chciałby pan, żebym ją przyprowadził? – Nim wypowiedział te słowa do końca, już ich pożałował. Nie miał ochoty przyprowadzić mamy! Jutro pan Leland Gaunt stanie się własnością miasteczka. Jutro mama i Myra Evans będą się nad nim znęcać... wraz ze wszystkimi innymi paniami z Castle Rock. Brian sądził, że pan Gaunt przestanie wydawać się takim oryginałem gdzieś pod koniec miesiąca – może nawet pod koniec tego tygodnia – ale na razie był oryginałem, na razie należał do Briana Ruska i tylko do Briana Ruska, i Brian nie miał zamiaru zmieniać tego stanu rzeczy.

Tak więc sprawiło mu przyjemność, kiedy pan Gaunt podniósł dłoń (palce miał bardzo wąskie i bardzo długie; Brian natychmiast zauważył, że wskazujący oraz serdeczny są dokładnie tej samej długości) i pokręcił głową.

– Nie, nie chciałbym – powiedział. – Właśnie tego najbardziej bym nie chciał. Pewnie przyszlaby z przyjaciółką, prawda?

– No... tak – Brian natychmiast pomyślał o Myrze.

– Albo nawet z dwiema przyjaciółkami. Nie, nie, tak jest znacznie lepiej, Brian... czy mogę ci mówić Brian?

– Oczywiście – odparł chłopiec, którego to pytanie rozśmieszyło.

– Dziękuję ci bardzo. Ty oczywiście nadal będziesz się do mnie zwracał „panie Gaunt”, ponieważ jestem starszy, choć niekoniecznie mądrzejszy... zgoda?

– Jasne. – Brian nie miał pojęcia, co pan Gaunt rozumie pod słowami „starszy i mądrzejszy”, ale strasznie spodobał mu się jego sposób mówienia. I oczy miał takie niezwykle, po prostu nie sposób było odebrać od nich wzroku.

– Teraz jest o wiele lepiej. – Pan Gaunt zatarł dłonie. Zaszyczały. To i tylko to wcale się Brianowi nie spodobało. Kiedy pan Gaunt zacierał dłonie, brzmiało to jak syk rozzłoszczonego, gotowego kąsać węża. – Oczywiście, powiesz wszystko mamie, może nawet pokazesz jej, co kupiłeś, jeśli cokolwiek kupisz...

Brian rozważał, czy warto poinformować pana Gaunta, że ma przy sobie majątek wartości dokładnie dziewięćdziesięciu jeden centów, i zdecydował, że nie warto.

– ...mama zaś opowie o wszystkim przyjaciółkom, jej przyjaciółki porozmawiają ze swoimi przyjaciółkami... rozumiesz, Brian? Będziesz reklamą, o jakiej miejscowa gazeta zaledwie mogłaby pomarzyć. Nie mógłbym lepiej się zareklamować, nawet gdybym wynajął cię do noszenia naszej reklamy na plecach!

– Jeśli pan tak mówi... – zgodził się Brian. Nie miał pojęcia, jak mógłby nosić reklamę Sklepiku z Marzeniami na plecach; z pewnością nigdy by się na to nie zgodził. – Fajnie móc się tak porozglądać – powiedział, myśląc jednocześnie „nie bardzo jest się tu po czym rozglądać!”.

– No to rozejrzyj się, Brian. – Pan Gaunt gestem wskazał gablotki. Brian zauważył, że ma on na sobie długą, aksamitną marynarkę. Pomyślał, że może to być nawet marynarka od smokingu, taka, o jakiej czytał w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie. Ale fajna. – Nie krępuj się!

Brian podszedł powoli do gablotki najbliższej drzwi wejściowych. Obejrzał się pewien, że pan Gaunt pójdzie za nim, ale pan Gaunt stał przy drzwiach, obserwując go z przyjaznym rozbawieniem. Wyglądało na to, że odczytał myśli Briana i dowiedział się z nich, że Brian najbardziej nie lubi, kiedy właściciel sklepu zagląda mu przez ramię. Przypuszczał, że właściciele na ogół boją się, że się coś stłucze albo podwędzi – albo jedno i drugie naraz.

– Nie spiesz się – powiedział pan Gaunt. – Zakupy sprawiają przyjemność wyłącznie wtedy, kiedy nikt się nie spieszy. A gdy się ktoś spieszy, dokuczają jak wrzód w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

– Proszę pana, czy pan pochodzi z zagranicy? – Chłopca zainteresowało powiedzenie „kiedy kto się spieszy” zamiast „kiedy się spieszysz”. Przypomniało mu to tego starego grzyba, prezentera *Teatru Ar-*

cydzieł; matka oglądała czasami jakąś sztukę, jeśli w gazecie napisali, że będzie o miłości.

– Pochodzę z Akron – odparł pan Gaunt.

– Czy to w Anglii?

Głos pana Gaunta zabrzmiał nadzwyczaj uroczyście:

– W Ohio – i pan Gaunt znów ukazał swe krzywe, żółte zęby w szerokim uśmiechu.

Brianowi wydało się to strasznie zabawne; tak samo zabawne wydawały mu się czasami dowcipy w telewizyjnych serialach komediowych. Poczul się tak, jakby naprawdę znalazł się nagle w którymś z tych seriali, może nieco tajemniczym, ale z pewnością nie groźnym. Parsknął śmiechem.

Przez chwilę bał się, że pan Gaunt weźmie jego śmiech za dowód braku wychowania (prawdopodobnie dlatego, że matka zawsze oskarżała go o brak wychowania, wskutek czego miał wrażenie, że więzi go mocna, choć niewidzialna sieć etykiety), lecz pan Gaunt też się roześmiał. Śmiali się tak razem; Brian nie pamiętał już, kiedy spędził równie przyjemne popołudnie.

– Rozejrzyj się. – Pan Gaunt machnął ręką. – Pogadamy sobie innym razem, dobrze?

Brian zaczął się więc rozglądać. W największej gablotce znajdowało się pięć eksponatów, choć miał wrażenie, że mogłaby pomieścić jeszcze ze dwadzieścia albo i trzydzieści. Leżała tam fajka i zdjęcie Elvisa Presleya z czerwoną chustą na szyi, w tej jego słynnej białej kurtce z tygrysem na plecach. Król (tak mówiła o nim zawsze matka Briana) trzymał mikrofon przy namiętnych ustach. Trzecim eksponatem był aparat polaroid. Czwartym – kawałek polerowanej skały z wgłębieniem pełnym odłamków kryształu, mieniących się wspaniale w świetle lampy, piątym zaś kawałek drewna, długości i grubości mniej więcej jednego z palców Briana.

Brian wskazał na kryształ.

– To geoida, prawda? – spytał.

– Jesteś zdumiewająco wykształconym młodym człowiekiem – powiedział pan Gaunt. – Oczywiście, że to geoida. Mam plakietki do większości towaru, ale jeszcze ich nie rozpakowałem... jak i większości samego towaru. Będę musiał harować jak wół, jeśli mam zdążyć na jutrzejsze otwarcie. – Gaunt nie wydawał się jednak zmartwiony i najwyraźniej nie miał zamiaru ruszyć się z miejsca.

– A to co? – Brian wskazał na kawałek drewna. Uważał, że to na-

prawdę bardzo dziwny sklep z dziwnym towarem, jak na małe miasteczko. Od pierwszego wejrzenia bardzo polubił Lelanda Gaunta, ale jeśli ma zamiar handlować czymś takim – pomyślał – to niedługo będzie robił interesy w Castle Rock. Jeśli chce się sprzedawać fajki, zdjęcia Króla i kawałki drewna, powinno się otworzyć sklep w Nowym Jorku. Tak przynajmniej działo się na oglądanych przez niego filmach.

– Ach, to wielce interesujące. Pozwól, że ci pokażę.

Pan Gaunt ruszył się z miejsca, podszedł do gablotki od tyłu, wyciągnął z kieszeni kółko pełne kluczy, wybrał jeden z nich pozornie na chybił trafił, otworzył gablotkę i bardzo ostrożnie wyjął z niej kawałek drewna.

– Wyciągnij rękę – polecił.

– Rany, może lepiej nie – odparł Brian. Wychowany w stanie, którego głównym przemysłem jest turystyka, swego czasu odwiedził sporo sklepów z pamiątkami i napatrzył się na wszelkiego rodzaju napisy głoszące: „Wygląda wspaniale w ręce trzymane, lecz jeśli upuścisz, zostało sprzedane”. Z łatwością wyobraził sobie wściekłą minę mamy; oto upuszcza drewnienko i pan Gaunt, już nie tak przyjacielski, oznajmia jej, że kosztowało pięćset dolarów.

– A czemuż to nie? – pan Gaunt podniósł brwi, a właściwie jedną brew, która rosła nad oczami i nosem krzywą, nieprzerwaną linią.

– No, bo jestem dość niezdarny.

– Nonsens! Potrafię rozpoznać niezdarnych chłopców na pierwszy rzut oka. Ty z pewnością nie zaliczasz się do tego plemienia. – Rzucił mu drewnienko na dłoń. Brian spojrzął na nie, zdumiony; nie miał pojęcia, kiedy otworzył dłoń, na której wylądowało.

W dotyku drewnienko wcale nie przypominało drewnienka, już bardziej...

– To chyba kamyk – stwierdził z powątpiewaniem, podnosząc wzrok na pana Gaunta.

– Zarówno drewno, jak i kamyk. Widzisz, to skamielina.

– Skamielina? – zdumiał się Brian. Popatrzył na drewnienko z bliska, przesunął po nim palcem. Wydawało się jednocześnie gładkie i nierówne. Dziwne to było uczucie, nie całkiem przyjemne. – Musi być stara!

– Ma przeszło dwa tysiące lat – zgodził się poważnie pan Gaunt.

– Rany! – krzyknął Brian. Podskoczył i omal nie upuścił drewnienka. Zaciśnął dłoń, w której spoczywało... i nagle poczuł się dziwnie, trochę strasznie, jakby nie wiedział, gdzie jest. Słabo? Nie, ale był da-

leko, jakby jakaś jego część wyrwała się z ciała, odpłynęła, zniknęła.

Widział pana Gaunta przyglądającego mu się z zainteresowaniem i rozbawieniem; jego oczy nagle nabrały rozmiarów spodków. Jednak uczucie zagubienia, którego doświadczał, nie było nieprzyjemne, lecz raczej podniecające i z pewnością miłsze od dotyku wyślizgującego się z palców drewnienka.

– Zamknij oczy – powiedział pan Gaunt. – Zamknij oczy, Brian, i powiedz mi, co czujesz.

Chłopiec zamknął oczy. Przez chwilę stał nieruchomo, z wyciągniętą przed siebie prawą ręką; w pięści ścisnął drewnienko. Nie widział, jak górna warga pana Gaunta podnosi się jak u psa, obnażając krzywe, żółte zęby; podnosi się w grymasie mogącym oznaczać radość i oczekiwanie. Czuł ruch... falowanie... i cichy delikatny dźwięk: puk... puk... puk... Znał ten dźwięk, to odgłos fal uderzających...

– Łódź! – krzyknął radośnie, nie otwierając oczu. – Jestem na łodzi.

– Oczywiście – głos pana Gaunta dobiegł jakby z bardzo daleka.

Brian znacznie wyraźniej czuł teraz łódź kołyszącą się na długich, łagodnych falach. Słyszał dobiegający z dala krzyk ptaków, a bliżej obecność wielu zwierząt: muczenie krów, pianie koguta, niski pomruk jakiegoś wielkiego kota, nie pomruk wściekłości, lecz znudzenia. Przez sekundę czuł pod stopami drewno (drewno, którego ścisł w dłoni drzazga była częścią, nie miał co do tego żadnej wątpliwości) i to, że na nogach ma nie adidasy, lecz coś w rodzaju sandałów...

...nagle wrażenie to znikło w rozbłysku światła, które skupiło się w jedną rozżarzoną na biało kropkę niczym w wyłączonym nagle telewizorze i zgasło. Brian otworzył oczy, wstrząśnięty, wyczerpany.

Zaciskał drewnienko w dłoni z taką siłą, że musiał zmusić palce, by się rozluźniły, a kiedy je prostował, trzeszczały niczym zardzewiałe zawiasy.

– O, rany! – powiedział cicho.

– Fajne, nie? – stwierdził wesoło pan Gaunt, odbierając drewnienko Brianowi z obojętną zręcznością lekarza wyciągającego z palca drzazgę. Umieścił je na półce i uroczyście zamknął gablotkę.

– Fajne – zgodził się Brian, gwałtownie wypuszczając powietrze z płuc w czymś, co było niemal westchnieniem. Pochylił się i spojrzął na drewnienko. Palce, w których je trzymał, nadal lekko mrowiły. Wrażenia: kołysanie się łodzi, fale bijące w kadłub, drewniany pokład pod nogami... zostały, ale przypuszczał (i czuł na tę myśl prawdziwy smu-

tek), że w końcu odejdą w niepamięć – jak odchodzą sny.

– Znasz opowieść o arce Noego? – zainteresował się pan Gaunt.

Brian zmarszczył brwi. Był prawie całkowicie pewien, że chodzi o coś z Biblii, lecz niedzielne kazania i czwartkowe lekcje religii wpadały mu jednym uchem, a wypadały drugim.

– Czy to... tak... jak ta łódź, co opłynęła świat w osiemdziesiąt dni? – spytał niepewnie.

Pan Gaunt znów uśmiechnął się szeroko.

– Mniej więcej, Brian. Tak, prawie tak. Widzisz, podobno drewno to pochodzi z arki Noego. Rzecz jasna, nie mogę powiedzieć po prostu, że pochodzi z arki Noego, bowiem ludzie oczywiście wzięliby to za najbrzydliwsze w świecie łgarstwo. Z pewnością na całym świecie ładne parę tysięcy ludzi sprzedaje dokładnie w tej chwili drzazgi z arki Noego – a pewnie więcej niż paręset tysięcy ludzi próbuje sprzedać drzazgi Jedynego Prawdziwego Drzewa Krzyża Świętego – ale mówię ci po prostu, że ma przeszło dwa tysiące lat, ponieważ badano je metodą C czternaście i oczywiście mogę też powiedzieć, że pochodzi z Ziemi Świętej, choć znaleziono je nie na górze Ararat, lecz na górze Boram.

Brian nie zwrócił uwagi na większą część tej tyrady, ale to, co ważne, zapamiętał.

– Dwa tysiące lat! – westchnął. – Jest pan pewien?

– Najzupełniej. Mam certyfikat z MIT, gdzie oznaczono jego wiek. Nabywca otrzyma go, oczywiście, wraz z towarem. Ale wiesz... naprawdę wierzę, że może pochodzić z arki. – Pan Gaunt przez chwilę wpatrywał się w drewno, a potem podniósł oślepiająco niebieskie oczy i spojrzał w orzechowe oczy Briana. Po raz kolejny unieruchomił chłopca spojrzeniem. – W końcu góry Boram i Ararat dzieli zaledwie trzydzieści kilometrów w linii prostej, a w historii wielokrotnie popełniano już większe błędy w lokalizacji łodzi... zwłaszcza gdy historia ta przez pokolenia przekazywana była z ust do ust, nim wreszcie została zapisana. Mam rację?

– Aaa... tak. Brzmi logicznie.

– A poza tym... jeśli weźmie się je w rękę, doświadcza się dziwnych wrażeń, prawda? Nie myślę się?

– No jasne!

Pan Gaunt uśmiechnął się i zwichrzył włosy chłopca. Czar prysnął.

– Podobasz mi się – powiedział. – Chciałbym, by wszyscy moi klienci byli równie ciekawi. Życie biednego handlarza, takiego jak ja,

byłoby o wiele weselsze, gdyby w ten sposób kręcił się świat.

– Ile... ile kosztowałyby u pana coś takiego? – Brian wskazał drewno lekko drżącym palcem. Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę, jak wielkie wrażenie wywarło na nim to doświadczenie. Czuł się tak, jakby przyłożył do ucha muszlę i usłyszał szum morza... tylko w trzech wymiarach i stereofonicznie. Bardzo chciał, by pan Gaunt pozwolił mu potrzymać je jeszcze przez chwilkę, odrobinę dłużej, ale nie wiedział, jak o to poprosić, a pan Gaunt nie spieszył się z propozycją.

– Ach, ach – pan Gaunt podparł dłonią brodę i spojrzał na chłopca łobuzersko. – Jeśli o nie chodzi – i o większość mojego towaru, tego naprawdę dobrego towaru, interesującego towaru – zależałoby to od kupującego. Od tego, ile chciałby zapłacić klient. Ile ty chciałbyś za nie zapłacić?

– Nie wiem. – Brian pomyślał o swych dziewięćdziesięciu jeden centach. Przełknął. – Mnóstwo!

Pan Gaunt odrzucił głowę i roześmiał się szczerze. Brian dostrzegł, że jego pierwsze wrażenie było mylne – włosy właściciela Sklepiku z Marzeniami były siwe tylko na skroniach. Musiał stać pod którąś z lamp – pomyślał.

– No, tak, bardzo sympatycznie sobie porozmawialiśmy, ale do jutra, do dziesiątej rano mam jeszcze mnóstwo roboty i...

– Jasne. – Brian drgnął. Dopiero teraz przypomniał sobie o dobrych manierach. – Muszę lecieć. Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu...

– Nie, nie, nie! – pan Gaunt położył wąską, długą dłoń na ramieniu chłopca. Brian odsunął się natychmiast. Miał nadzieję, że nie zachował się niegrzecznie, ale nawet gdyby tak było, to i tak nic na to nie potrafił poradzić. Ręka pana Gaunta była twarda, sucha i w jakiś sposób odpychająca. W dotyku tak naprawdę niewiele różniła się od skamieniałego drewnianka, pochodzącego z arki Noego czy jak się ta łódź nazywała. Lecz pan Gaunt był zbyt przejęty, by zwrócić uwagę na ten ruch. Sprawiał wrażenie, jakby to on zachował się nieuprzejmie. – Chodziło mi tylko o to, że czas już przejść do interesów. Doprawdy, nie ma sensu, byś marnował czas na oglądanie reszty tych moich drobiazków, które zdołałem już rozpakować; nie jest ich wiele, a te najciekawsze już widziałeś. Jednak całkiem nieźle orientuję się w tym, co mam na składzie, nawet bez pomocy spisu, i być może coś z tego ci się spodoba. Co chciałbyś mieć?

– Raaany! – Istniały tysiące rzeczy, które chciałby mieć, i w tym

tkwił problem. Zadane tak bezpośrednio pytanie natychmiast uświadomiło mu jego istnienie: nie wiadomo, co z tego tysiąca wymienić.

– Nad tego rodzaju sprawami lepiej się za głęboko nie zastanawiać – orzekł pan Gaunt. Wypowiedział te słowa obojętnie, ale w jego oczach nie było nic obojętnego – bardzo uważnie wpatrywał się w twarz Briana. – Gdybym spytał: „Brianie Rusk, czego w tej chwili pragniesz najbardziej na świecie”, co byś mi odpowiedział? Szybko!

– Sandy’ego Koufaxa – odparł natychmiast Brian. Nie zdawał sobie sprawy, że wyciągnął rękę, póki drewnienko nie spadło mu na dłoń, i nie wiedział, co odpowiedzieć panu Gauntowi, póki słowa same nie znalazły się na jego ustach. Gdy je jednak wypowiedział, zrozumiał, że są całkowitą, absolutną prawdą.

5

– Sandy’ego Koufaxa – powtórzył w zamyśleniu pan Gaunt. – Jakież to interesujące.

– No... oczywiście nie samego Sandy’ego Koufaxa. Chciałbym mieć jego kartę baseballową.

– Topps czy Fleers?

Brian nie wyobrażał sobie, by popołudnie to mogło zrobić się jeszcze przyjemniejsze, ale właśnie tak się stało. Pan Gaunt znał się na kartach baseballowych równie dobrze jak na drewnienkach i geoidach. Zdumiewające, doprawdy zdumiewające.

– Topps.

– Czyli pewnie chodzi ci o jego kartę debiutancką. – W głosie pana Gaunta brzmiał żal. – Niestety, nic nie mogę dla ciebie zrobić, ale...

– Nie. Nie kartę z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, tylko z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego. Tę właśnie chciałbym mieć. Kolekcjonuję karty baseballowe z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Tata mnie do tego namówił. To fajne, a tylko kilka z nich jest naprawdę drogich: Al Kaline, Mel Parnell, Roy Campanella, kilka innych. Mam ponad pięćdziesiąt. Ala Kaline też. Kosztował mnie trzydzieści osiem dolców. Mnóstwo trawników ostrzygłem, żeby dostać Ala.

– No pewnie – pan Gaunt uśmiechnął się.

– No więc, jak mówiłem, większość kart z pięćdziesiątego szóstego roku nie jest taka znowu droga – kosztują pięć, siedem, czasami

dziesięć dolarów. Ale Sandy Koufax w dobrym stanie kosztowałby jakieś dziewięćdziesiąt, może nawet sto. Nie był wielkim graczem w tym roku, ale oczywiście później okazał się wielki, a to było wtedy, kiedy Dodgersi nadal grali w Brooklynie. Wszyscy nazywali ich wtedy Bum-Bum. Przynajmniej tak twierdzi tata.

– Twój tata ma dwustuprocentową rację – przytaknął pan Gaunt. – Sądzę, że mam coś, co może uczynić cię bardzo szczęśliwym. Zaczekaj tu.

Zniknął za zakrytymi zasłoną drzwiami, pozostawiając Briana w towarzystwie gablotki z drewnianym, polaroidem i zdjęciem Króla. Chłopiec, niecierpliwie oczekując niespodzianki, przestępował z nogi na nogę tak, że niemal tańczył. Powtarzał sobie, że nie powinien być aż takim idiotą, nawet jeśli pan Gaunt ma kartę Sandy'ego Koufaksa, nawet jeśli jest to Topps z lat pięćdziesiątych, to pewnie będzie z 1955 albo 1957 roku. A nawet gdyby okazała się kartą z 1956 roku, to co? Co zwojuje z niespełna dolarem w kieszeni?

No, przynajmniej się napatrzę, nie? – pomyślał Brian. Patrzeć nie kosztuje, nie? To powiedzenie też należało do repertuaru mamy.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło go szuranie przesuwanych pudeł, co chwila któreś z nich z łagodnym stukiem stawiane było na podłodze.

– Jeszcze chwilka, Brian – zawołał pan Gaunt. Był chyba trochę zdyszany.

– Niech pan nie robi sobie przeze mnie kłopotu! – zawołał chłopiec z szaleńczą nadzieją, że właściciel Sklepiku z Marzeniami zrobi sobie przez niego tyle kłopotu, ile okaże się konieczne.

– Może to pudło jeszcze nie dojechało? – stwierdził z powątpiewaniem pan Gaunt.

Serce Briana niemal przestało bić.

– Ale przecież byłem pewien... no! Mam! Jest!

Serce Briana ożyło... ba, wskoczyło mu do gardła i wykonało salto w tył!

Pan Gaunt wrócił do sklepu. Włosy miał nieco rozczochrane, na jednej z kłap smokingu pozostała smużka kurzu. W dłoniach trzymał pudełko po koszykarskich trampkach Air Jordan. Postawił je na ladzie i zdjął przykrywkę. Brian stał obok niego, nieco po lewej. Zajrzał mu przez ramię...

Pudełko pełne było kart baseballowych, każda w plastikowej kopercie, zupełnie jak w specjalistycznym sklepie w North Conway, w

New Hampshire.

– Myślałem, że może w środku jest karta inwentarzowa, ale to by było zbyt piękne – stwierdził pan Gaunt. – Mimo wszystko nieźle orientuję się w tym, co mam, jak ci już wspomniałem... tak trzeba, jeśli handluje się po trochu wszystkim... jestem niemal pewien, że widziałem...

Zawahał się i zaczął szybko przerzucać karty.

Brian przyglądał się, oniemiały z podziwu i oszołomienia. Facet, który prowadził sklep w North Conway, miał, według określenia taty, „całkiem niezłą jak na wiochę” kolekcję starych kart, ale wszystko, co miał, nie umywało się do zawartości tego pudełka. Były w nim karty z tytoni do zucia przedstawiające Ty’ego Cobba i Piego Traynora. Były karty papierosowe Babe’a Rutha i Doma DiMaggia, i Wielkiego George’a Kellera, i nawet Hiram Dissena, jednorękiego miotacza, grającego w Białych Skarpetach w latach czterdziestych. ZIELONY LUCKY STRIKE POSZEDŁ NA WOJNĘ – głosiło wiele z tych kart. A tam, przez mgnienie oka, szeroka, poważna twarz i koszulka Pittsburgha...

– Boże, czy to był Honus Wagner? – westchnął Brian. Serce niczym maleńki ptaszek podleciało mu do gardła i objało się tam, nie znajdując drogi wyjścia. – To najzadsza karta baseballowa we wszechświecie!

– Tak, tak – stwierdził machinalnie pan Gaunt. Długimi palcami przewracał karty, twarze z innej epoki uwięzione w plastikowych okładkach, mężczyźni rzucający jak szatany, odbijający jak diabły, biegnący jak sarny, bohaterowie minionej złotej ery, ery, gdy chłopcy ciągle jeszcze śnili pogodne, uroczne sny. – Odrobina wszystkiego – oto recepta na kwitnący biznes, Brian. Różnorodność, radość, zdumienie, spełnienie... oto recepta na szczęśliwe życie w ogóle, jeśli już przy tym jesteśmy... Nie udzielam rad, ale gdybym udzielał, to na tej z pewnością wyszedłbyś dobrze... Jeszcze, jeszcze, wszystko sprawdzimy... ach!

Ze środka pudełka wyjął kartę niczym czarnoksiężnik w finale sztuczki.

Położył ją przed Brianem.

Była to karta Sandy’ego Koufaksa.

Z 1956 roku. Topps.

Podpisana.

– „Mojemu dobremu przyjacielowi Brianowi z najlepszymi życzeniami, Sandy Koufax” – ochryplym szeptem przeczytał dedykację Brian.

I odkrył, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa.

Patrzył na pana Gaunta, poruszając wargami. Pan Gaunt uśmiechnął się.

– Niczego nie zaplanowałem i nawet nie przypuszczałem, że tak się to ułoży, Brian – powiedział. – Przypadek... ale jakże miły przypadek, nie sądzisz?

Brian nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu, więc tylko słabo skinął głową. Plastikowa okładka z ceną zawartością dziwnie ciążyła mu w dłoni.

– Wyjmij kartę – zaproponował pan Gaunt.

Brian zdołał wreszcie wykrztusić kilka słów, lecz jego głos był głosem schorowanego starca.

– Nie śmiem.

– No, a ja tak – powiedział pan Gaunt, odebrał Brianowi kopertkę, sięgnął do niej wyjątkowo długim palcem z wymanikiurowanym paznokciem i wydobył nim kartę. Włożył ją chłopcu w rękę.

Brian poczuł wgłębienia powierzchni – dzieło długopisu, którym Sandy Koufax wypisał na karcie swe imię... ich imiona. Jego odręczny podpis bardzo przypominał ten drukowany, tylko w druku było Sanford Koufax, zaś odręcznie: Sandy Koufax. Ten drugi podpis był też tysiąc razy lepszy... prawdziwy. Sandy Koufax trzymał tę kartę w dłoni, wycisnął na niej swe piętno; piętno żywej dłoni i magicznego nazwiska.

Na karcie było nie tylko jego imię, lecz także to drugie... imię Briana. Jakiś Brian stał przy siatce Ebbets Field kiedyś, przed którymś z meczów i Sandy Koufax, prawdziwy Sandy Koufax, młody, silny, u progu wielkiej kariery, wziął podaną mu kartę i – prawdopodobnie mocno pachnąc słodką różową gumą do żucia – zostawił na niej swój ślad... I mój także – pomyślał Brian.

Nagle naszło go to samo uczucie, które poznał już, gdy ścisnął w dłoni skamieniałą drzazgę. Tylko tym razem uczucie to było o wiele, wiele mocniejsze.

Słodki zapach świeżo skoszonej trawy.

Ciężki odgłos uderzenia dębową pałką w piłkę z końskiej skóry.

Okrzyki i śmiechy z pola.

– Dzień dobry, panie Koufax, czy mógłby pan podpisać mi kartę? Wąska twarz. Piuwe oczy. Ciemne włosy. Koufax zdejmuje czapecz-

kę, drapie się w głowę tuż nad linią włosów, wkłada czapkę.

– Jasne, chłopcze. – Bierze kartę. – Jak ci na imię?

– Brian, proszę pana. Brian Seguin.

Drap, drap, drap długopisu po karcie. Magia, ręka mistrza.

– Chcesz grać w baseball, kiedy dorośniesz, Brian? – Koufax najwyraźniej zadaje to pytanie machinalnie, z przyzwyczajenia, nie podnosząc wzroku znad karty, którą trzyma w wielkiej prawej dłoni. Podpisuje się lewą, która wkrótce stanie się tak sławna.

– Oczywiście, proszę pana.

– Ćwicz podstawy – ręka oddaje kartę.

– Oczywiście, proszę pana.

Lecz Sandy Koufax odwrócił się już, odchodzi, biegnie lekko po świeżo skoszonych trawie w kierunku boiska, a obok niego biegnie jego cień...

– Brian? Brian!

Długie palce pstrykają mu przed nosem – palce pana Gaunta. Brian obudził się z transu. Właściciel Sklepiku z Marzeniami obserwował go z uśmiechem.

– Hej, słyszysz mnie, Brian?

– Przepraszam – Brian zaczerwienił się mocno. Zdawał sobie sprawę, że powinien oddać kartę i wyjść ze sklepu, ale zaciśnięte palce nie chciały się rozluźnić. Pan Gaunt patrzył mu w oczy – zaglądał mu wprost w głowę! – i znów Brian nie był w stanie odwrócić wzroku.

– Załóżmy – powiedział cicho pan Gaunt – załóżmy, Brian, że chcesz kupić tę kartę. Ile byś za nią zapłacił?

Brian był w rozpacz. Na sercu zaciążył mu potężny gład.

– Mam tylko...

Pan Gaunt gwałtownym ruchem podniósł w górę lewą dłoń.

– Ciii! – rozkazał stanowczo. – Ugryź się w język. Kupującemu nie wolno powiedzieć, ile ma przy sobie pieniędzy. Równie dobrze mógłbyś wręczyć handlarzowi portfel i wysypać z kieszeni drobne na podłogę. Jeśli nie umiesz kłamać, milcz! To pierwsza zasada uczciwego handlu.

Oczy... znowu te wielkie, ciemnoniebieskie oczy. Brian miał wrażenie, że w nich tonie.

– Za tę kartę płaci się w dwóch ratach. Pół na pół. Pierwsza rata to gotówka. Druga – to zadanie do wykonania. Rozumiesz?

– Tak. – Brian znów poczuł, jak odpływa daleko od Castle Rock, od Sklepiku z Marzeniami, od samego siebie. W tej oddali jedyną rzeczywistością były ogromne oczy pana Gaunta.

– Pierwsza rata za kartę z autografem Sandy’ego Koufafa wynosi osiemdziesiąt pięć centów – stwierdził pan Gaunt. – Czy wydaje ci się uczciwa?

– Tak. – Głos Briana był słaby, daleki. Czuł, jak odpływa... odpływa... zbliżając się do punktu, w którym nie istnieje już nawet świadomość.

– Świetnie – powiedział pieszczotliwie pan Gaunt. – Jak na razie transakcja układa się nam doskonale. A teraz zadanie... czy znasz kobietę imieniem Wilma, Wilma Jerzyck?

– Jasne, Wilma – przemówił z mroku Brian. – Mieszka na sąsiedniej uliczce.

– Istotnie – zgodził się pan Gaunt. – Słuchaj mnie uważnie. – Pan Gaunt na pewno mówił dalej, lecz Brian nie pamiętał nic.

7

Świadomość odzyskał dopiero, gdy pan Gaunt nadzwyczaj delikatnie wyprosił go ze sklepu na ulicę, powtarzając, jak bardzo cieszy się z ich spotkania, i prosząc, by opowiedział matce i jej przyjaciółkom, jak wspaniale go potraktowano i jaką rozsądną zaproponowano cenę.

– Jasne – powiedział Brian. Był oszołomiony... lecz mimo to czuł się świetnie, jak po odświeżającej, popołudniowej drzemce.

– Mam nadzieję, że jeszcze tu wrócisz – powiedział pan Gaunt i natychmiast zatrzasnął drzwi. Brian przyjrzał się im. Wisiała na nich tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE.

8

Miał wrażenie, że spędził w Sklepiku z Marzeniami kilka godzin, lecz zegar nad bankiem pokazywał za dziesięć czwartą, więc trwało to najwyżej dwadzieścia minut. Nim wsiadł na rower, oparł się brzuchem o kierownicę i sięgnął do kieszeni spodni.

Z jednej wyjął sześć błyszczących miedzianych jednocentówek.

Z drugiej podpisaną przez Sandy’ego Koufafa kartę baseballową.

Najwyraźniej doszło do jakiejś transakcji, choć Brian za skarby świata nie mógłby sobie przypomnieć, o co chodziło. Pamiętał tylko, że w rozmowie padło nazwisko Wilmy Jerzyck.

„Mojemu dobremu przyjacielowi, Brianowi, z najlepszymi życzeniami. Sandy Koufax”.

Niezależnie od tego, ile zapłacił, warto było.

Taka karta jest praktycznie bezcenna.

Brian ostrożnie włożył ją do plecaka, tak żeby się nie pogięła, wsiadł na rower i pognął do domu. Przez całą drogę uśmiechał się radośnie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).